

BOHDAN CHWEDEŃCZUK
Uniwersytet Warszawski

O DRAMACIE MARIANA PRZEŁĘCKIEGO, Z DOŁĄCZENIEM WSPOMNIEŃ

Jaka władza zdoła ceniom przywrócić życie? – pyta myśliciel. Życiodajna pamięć, w jedno zrosnięta z wyobraźnią – odpowiada (Czesław Miłosz w *Ziemi Ulro*, rozdz. 4). Wspomnienia zatem to stop prawdy i zmyślenia.

W moich wspomnieniach garść scen z Nim na różnych planach. Ćwiczenia z logiki do wykładu profesor Janiny Kotarbińskiej, dla nas pierwszorocznych, w niebanalnym roku akademickim 1956/1957. W grupie uzdolnieni logicznie koledzy, Tomasz Makarczyk, Andrzej Zabłudowski. Zachowuję we wspomnieniu najważniejsze – krystalicznie jasne jest to, co mówi młody Asystent, i on jest jasny, mówi przyjaźnie, gestykuluje powściągliwie i pomocnie, elegancko się porusza. Oto zajęcia, na których przedstawia Woodgera aksjomatyzację jakiegoś kawałka biologii i zadaje do domu przeprowadzenie dowodu jednego z twierdzeń. Na następne spotkanie najlepsi przynoszą dowody. A może nie były to ćwiczenia, lecz proseminarium, a twierdzenie nie pochodziło od Woodgera, lecz z innej parafii? Nieważne! Zostało, co najważniejsze.

Studencki sympozjon filozoficzny, z udziałem naszych nauczycieli, w Bukowinie Tatrzańskiej w latach sześćdziesiątych ubiegłego stulecia. Burzliwe dysputy, ostre starcia, barykada dzieląca pozytywistów od egzystencjalistów, a przy tym wspólnota namysłu i zabawy. Pewnego wieczoru wychodzimy z miejscowej gospody, rozdyktowani, rozdokazywani. I oto w sekundzie przemiana świata, katastrofa. Do dziś widzę tę diabelską sekwencję, słyszę ją: nasze postacie, śmiechy, piękna Joanna Piasecka, inni, a On – nieopatrzny krok i spada na kamienie z nieoświetlonego tarasu. Kiedy o tym myślę, gdy odsłuchuję tamto *o Jezu!*, nie słyszę krzyku, lecz strasliwą skargę. Co wówczas słyszałem? Czy krzyk

wówczas, a skargę dziś, bo *wiem*, gdy wypełniło się Jego życie, że nigdy nie krzyczał.

A owo nieoczekiwane spotkanie z obojgiem Przełęckimi w Puszczy Białowieskiej w latach siedemdziesiątych, bodaj w pobliżu którejś z śródpuszczańskich wsi, założonych przez Tyzenhauza. Został mi w pamięci nastrój tamtej chwili – żeśmy się wzajemnie ucieszyli, jak ludzie rzadkich zajęć i rzadkich upodobań, którzy utwierdzają się w swoim, spotkawszy pobratymca.

I było jeszcze trochę spotkań przygodnych, w Instytucie Filozofii i na Żoliborzu, gdzieśmy sąsiadowali, jeśli zliberalizować pojęcie sąsiedztwa. Znajduję po latach coś wspólnego tym spotkaniom: po jego stronie, wiadomo, On był im wspólny, a po mojej – nie po prostu ja, nie byle jaki ja, lecz ja w szczególnym wydaniu. Zmobilizowany, nastawiony, by dobrze wypaść w Jego oczach, żeby coś wnieść w tę sytuację, żeby się na mnie nie zawiódł. Tak czuję, gdy spotykam ludzi lepszych od siebie, którzy budzą respekt, lecz nie lęk, i ciągną mnie w górę, więc jestem im coś winny.

I było jeszcze spotkanie banalne, migawka z korytarza – wychodzi z jakiejś dyskusji w nowej siedzibie Biblioteki Uniwersytetu Warszawskiego, a ja śpieszę tam spóźniony. Dziś wiem, że było to spotkanie ostatnie. Gdybym to wówczas wiedział, byłaby w tym metafizyka, w rozumieniu profesora Mariana Przełęckiego. Gdy myślę dziś, jak przywrócić metafizykę tamtemu spotkaniu, myślę, że gdy zniknął mi z oczu na zawsze, nastawiłbym wróciwszy z tą wiedzą do domu *Sonatę a-dur* (D 959) Franciszka Schuberta, z jej rozpaczliwym *andantino*.

*

Filozofię Mariana Przełęckiego przenika dramat. Tę zdawałoby się pogodną, stonowaną, pojednawczą filozofię człowieka, który przyznaje, że jest „raczej zwolennikiem polityki koegzystencji” (w rozmowie z Anną Brożek, zob. Marian Przełęcki: *Horyzonty metafizyki*. Warszawa 2007, s. 201).

Łatwo wskazać tę filozofię, jej rdzeń. Wskazuję: to jest to, co przynosi dziewięćdziesięciopięciostronicowa rozprawa *Poza granicami nauki. Z semantyki poznania pozanaukowego* (Warszawa 1996). Reszta twórczości to rozwinięcia i umocnienia zawartych tam idei, skromna

liczbowo eseistyka oraz ważne prace naukowe, z metodologii i semantyki wiedzy empirycznej.

Rozprawa ta przynosi tezę, że *nauka* – korona wiedzy dostępnej współczesnemu człowiekowi – *nie wyczerpuje ani naszych możliwości, ani naszych wyników poznawczych*. Nie cała wiedza płynie z nauki, bo płynie też z intuicji wartości, z filozofii, ze sztuki, a nawet z szeroko rozumianej, na sposób Przełęckiego, religii. Teza ta dostaje rzecz jasna argumentację wysokiej próby, inaczej nie byłoby o czym mówić.

(Jest to teza z filozofii kultury, bo dotyczy ważnej strony głównych obszarów kultury, ich myślowej wydajności. Marian Przełęcki jest więc filozofem kultury, on dopiero, nie ci, którzy pod tym szyldem uprawiają manieryczne dywagacje.)

Nie byłoby nic ważkiego w tej tezie – a jest! - gdyby nie dwa fakty. Jeden z dziejów kultury, a drugi z życiorysu Mariana Przełęckiego. Pierwszy to jej potężna *antyteza*, głoszona przez wszystkie pozytywizmy, a drugi to niegdysiejsza na ową antytezę zgoda Mariana Przełęckiego. (Świadectwem, gdyby brakowało innych, niech będzie wypowiedź z roku 1960: „Doznania metafizyczne nie mają charakteru przeżyć poznawczych”, są przeżyciami emocjonalnymi, tak jak doznania moralne. „Ich wyrazem nie są więc twierdzenia; wypowiedzi prawdziwe lub fałszywe”, Marian Przełęcki, dz. cyt., s. 80).

Nie byłoby dramatu, gdyby szło o zwykłą ewolucję poglądów, prowadzącą do poglądu przeciwstawnego wyjściowemu. Dramat w tym, że przed nami ewolucja człowieka zawiądnętego przez dwie skonfliktowane, a niezgodzalne potrzeby duchowe. To jego źródło – że Marian Przełęcki ma duszę rygorystycznego empirysty, ale mu za ciasno w tym rynsztunku. Lokalizacja historyczna Mariana Przełęckiego, oddziaływanie pewnej tradycji, które go spotkało, przesądziło, że rozwinął najpierw siebie scjentyistycznego (*sit venia verbo*), a dopiero na starość dopuścił do głosu tego drugiego, metafizycznego. W innych warunkach (wyobraźmy sobie Mariana Przełęckiego wśród niemieckich transcendentalistów początków XIX stulecia) nurt płynąłby w drugą stronę – od nomenów do fenomenów.

Owocem jest druga filozofia Przełęckiego, dramatyczna próba pogodzenia dwóch żywiołów jego umysłu. Rzecz w tym, że w owym drugim

świecie Przełęcki pozostaje dawnym sobą, toteż jego nowe źródła wiedzy, owe intuicje, percepcje wartości, usensownienia bytu i człowieka niosą co najwyżej – jak utrzymuje z właściwą światu pierwszemu ostrożnością – mgliste domysły, niepewne domniemania, a „opis wartościujący” świata ma się rozwijać pod ciągle obowiązującym rygorem „niezależności logicznej oceny od opisu” (zob. *Poza granicami nauki*, wyd. cyt., s. 52-53).

Nieskuteczna jest ta próba pogodzenia empirii z metafizyką, serca z rozumem. Nie da się osiąść w metafizyce z nawykami empirysty ani utrzymać w empirii z tęsknotami metafizyka. Nieskuteczna jest ta próba pojęciowo, a niewydajna społecznie, jak większość prób godzenia skonfliktowanych interesów – niezadowoleni są bowiem i ci, których Przełęcki opuścił, i ci, do których przystał. On sam też nie osiąga ukojenia, bo o nieukojeniu świadczą ostatnie słowa Mariana Przełęckiego: „Zadaję sobie tylko pytanie, w jakim stopniu to, co piszę, odpowiada mojemu autentycznemu przekonaniu. Czy sam głęboko w to wierzę, czy tylko chcę w to wierzyć?” (w rozmowie z Anną Brożek: *Horyzonty metafizyki*, wyd. cyt., s. 203).

Jest wielkość w tym dramacie z jego szekspirowskim finałem, jest wielkość, że się Marian Przełęcki w nim obsadził – w dramacie, który czyha na każdego z nas.

Summary

There is a dramatic and unremovable tension in the philosophy of the late Professor Marian Przełęcki between empiricist background and the metaphysical aspirations of his mind. And there is a charm of his personality – *there is*, “because the past is as real as the present” (Przełęcki) – which you could perceive meeting him.

Key words: empiricist background, metaphysical aspirations, past as real as present.